

JAK PANI/PANA ZDANIEM PANDEMIA WPŁYNEŁA NA SYTUACJĘ HUMANISTYKI I UNIWERSYTETU?

Barbara Brzezicka

POJEDYNCZOŚĆ DOŚWIADCZENIA

W chwili, kiedy piszę te słowa, temat pandemii nie jest już tym, który zaprzęta nasze myśli i czyny. Po Zarazie przyszła Wojna, a wraz z nią kolejna masowa mobilizacja troski, w której zapominamy na chwilę o tym, co nas dzieli, i pierwszy raz od dawna czujemy się częścią wspólnoty, którą można pewnie nazwać „narodową”, ale też wspólnoty ogólnoludzkiej, która solidarnie staje po stronie ofiar napaści.

Doświadczenie wspólnego losu towarzyszyło nam również dwa lata temu, kiedy podobnie jak mieszkańcy innych krajów zmuszeni zostaliśmy do zamknięcia się w domach, ale też do otwarcia na tych, którzy znaleźli się w położeniu trudniejszym niż nasze. I pewnie można powiedzieć, że to właśnie ogólnoludzka wspólnota doświadczeń stanowi sedno humanistyki. Uniwersytet to przecież miejsce, w którym szukamy prawd uniwersalnych, nie tylko w ramach nauk ścisłych. Szczególną słabość do uniwersaliów ma filozofia, ale poszukiwanie uniwersalnego człowieczeństwa odnaleźć można w wielu naszych badaniach, a także w wielu akademickich dyskusjach, które nie przypadkiem stały się w języku potocznym synonimem oderwania od konkretnego życia codziennego i operowania na pojęciach abstrakcyjnych. Doświadczenia epidemii i wojen to te chwile, w których pytanie o to, co znaczy być człowiekiem, powraca i wymaga zajęcia stanowiska.

Jednak z drugiej strony w chwilach kryzysu odkrywamy siebie i innych w naszej nieredukowalnej pojedynczości i indywidualności. *Lockdown* mógł niejednemu introwertykowi uświadomić, jak bardzo tęskni za spotkaniami z przyjaciółmi, a jednocześnie inna osoba w tej samej sytuacji odkrywała nieuświadomianą wcześniej potrzebę samotności – z dala od najbliższych. Nagle okazało się, że wiele osób jest szczęśliwszych mogąc pracować z domu, a elegancie biurowce to przestrzenie, w których dobrze czuje się tylko część pracowników i pracownic (czyżby ta na samym szczycie hierarchii?). Podobnie ze społecznością uniwersytetu – jako nauczycielki często ze zdumieniem czytałyśmy ankiety, w których studenci deklarowali, że zdalne zajęcia im odpowiadają. Oczywiście nie wszystkim. Odpowiedź na pytanie, czy i jak powinniśmy przeorganizować nauczanie na uniwersytecie, należy do nauk społecznych z ich potężnym narzędziem – statystyką. Nie chodzi tu rzecz jasna o to, żeby wzorem ministerialnych rozporządzeń stawiać granicę między naukami humanistycznymi i społecznymi, które zawsze się przenikały i nigdy nie powinny porzucać prób wzajemnego wkraczania na swoje terytoria, nawet jeśli często można nam zarzucić „bezprawne” przekraczanie tych granic. Z punktu widzenia humanistyki nie powinniśmy jednak nigdy porzucać tego, co się wymyka badaniom statystycznym – tego, jest statystycznym „błędem”. Tej jednej osoby, która ze względu na chorobę nie mogła nigdy uczestniczyć w życiu akademickim czy kulturalnym, a teraz po raz pierwszy nie tylko słucha i ogląda, ale też aktywnie działa w studenckim kole naukowym. Tej pracownicy naukowej, która przez półtora roku jeździła pracować w pustym budynku wyłożonym surowym betonem i czerpała z tego radość. Ale też tego trans mężczy-

zny, który musiał przez cały ten czas patrzeć na swój *dead name* w MS Teams. Tej studentki, która zawsze bała się spotkań z innymi, a po wielomiesięcznej izolacji jest jej jeszcze trudniej przełamać lęki.

Oczywiście to wszystko można sprowadzić do wrażliwości na potrzeby grup mniejszościowych. Ale indywidualny człowiek – student, który się do nas zwraca – nie jest tylko reprezentantem mniejszości, mimo że często mamy tendencję do przypisywania jednostkom cech dyskryminowanej grupy i odwrotnie. Uniwersalne kryteria oceny, nawet jeśli wzbogacimy je o perspektywy mniejszościowe, nigdy nie zastąpią wysłuchania człowieka w jego nieredukowalnej pojedynczości. Teraz być może wiele z nas się zastanawia, jak powinniśmy traktować naszych studentów z Ukrainy, i próbujemy wypracować jak najbardziej wspierającą postawę. Tymczasem każda z tych osób przeżywa swoją indywidualną historię na swój sposób – pewnie nie zawsze najlepszy z punktu widzenia psychologii, a może nawet czasem niezgodny z wartościami, które my wyznajemy. Ale to ona wie, czy potrzebuje rozmowy i wsparcia ze strony nauczyciela, czy woli w sytuacji dydaktycznej nie myśleć o tym, co boli, i skupić się na przerabianym materiale. Nigdy nie będziemy tego wiedzieć z góry i tylko osoby, z którymi się spotykamy, mogą nam dać odpowiedź. Jednak nawet jeśli wysłuchamy jej z uwagą, nie zrozumiemy ich w pełni, a nasza empatia zawsze będzie podszyta projekcją.

Być może dla humanistyki bardziej podstawowe niż poszukiwanie uniwersaliów jest proste, naiwne pytanie „Jak to jest być tobą?”. Pytanie, które przychodzi do nas często kiedy oglądamy obraz, czytamy wiersz, czy słuchamy utworu muzycznego i wtedy, kiedy próbujemy zrozumieć obcy język i obce kultury. Jak to jest być tym, który stworzył to dzieło, tym, który mówi i myśli w obcym dla mnie języku? Te próby rozumienia są zawsze skazane na porażkę, a jednak podejmujemy je – również jako badacze i badaczki w ramach humanistyki, która oprócz sięgania po boskie uniwersalia staje też w obliczu nieredukowalnej transcendencji Innego. Pandemia pokazała, jak bardzo nasze osobiste doświadczenia wymykały się z góry ustalonym zasadom, sylabusom i efektem kształcenia. A jednocześnie każde z nas – wykładowczyń i studentów – uzyskało wiedzę, umiejętności i kompetencje społeczne, których nikt dla nas nie planował i które często dla nas samych były zaskoczeniem. Będziemy z pewnością coraz więcej wiedzieć o tym, jak pandemia wpłynęła na dydaktykę i badania naukowe, jednak mam nadzieję, że jako humanistki i humaniści będziemy w stanie przyswoić tę wiedzę, nie rezygnując z uważności na to, co wyjątkowe i pojedyncze.

BARBARA BRZEZICKA – filozofka i filolożka, pracuje jako adiunktka w Instytucie Filologii

Ewa Czaplewska

Jestem przedstawicielką językoznawstwa stosowanego – logopedii. Podstawą naszej pracy naukowej są często badania empiryczne z udziałem ludzi. Prowadzimy badania w przedszkolach, szkołach, poradniach szpitalach, domach seniorów itp. W czasie pandemii ta praca była jednak niemożliwa. Społeczna izolacja dotkliwie wpłynęła zatem na naszą działalność naukową. Nie mogliśmy prowadzić badań my, nie mogli tego robić nasi studenci. Mogliśmy wykorzystywać jedynie dostępne nam formy takie jak np. badania ankietowe prowadzone za pośrednictwem internetu. Studenci, którzy na czas nauki zdalnej wrócili do swoich domów, nie mogli korzystać z biblioteki, zatem i my – wykładowcy – musieliśmy w swoich działa-

niach dydaktycznych wziąć pod uwagę to ograniczenie.

Z drugiej jednak strony, ta trudna sytuacja zmusiła niektórych studentów po raz pierwszy w ich życiu do korzystania z internetowych zasobów bibliotecznych. Dzięki temu mogli przekonać się, że mają możliwość dostępu do ogromnego zasobu światowej nauki bez konieczności wychodzenia z domu.

Pandemia wymusiła na nas wszystkich także konieczność poszerzenia swoich kompetencji w zakresie pracy zdalnej. To, co początkowo wydawało się trudne, dzisiaj wydaje się już zupełnie naturalne. Aplikacja MS Teams nie stanowi już dla nas tajemnicy i spostrzegamy ją jako narzędzie ułatwiające pracę dydaktyczną, naukową, współpracę pomiędzy różnymi ośrodkami w kraju i za granicą. Ten sposób naszej pracy zostanie z nami już zapewne na zawsze.

EWA CZAPLEWSKA – profesorka w Instytucie Logopedii UG

Bartosz Dąbrowski

Mój zasadniczy problem ze sformułowaniu odpowiedzi na zadane pytania wynika z trudnego do uzasadnienia przekonania, że pandemia w niedostrzegalny sposób przedefiniowała to, co uznawaliśmy za normalne i akceptowalne, a co za tym idzie – bezpośrednio wpłynęła na społeczne formy postrzegania rzeczywistości. Jednocześnie zbiorowy stosunek do tego, co przyniosła i wywołała, przyjął postać „przegapionej” katastrofy, tj. zdarzenia, które pociągnęło za sobą wymazanie spowodowanej przez siebie zmiany. To poznawcze zakłócenie, będące następstwem epidemii, można porównać do trwałego optycznego zniekształcenia wzroku lub niewidzialnej zaćmy, która zmieniając wszystko na co patrzymy, nie pozostawia śladów po własnej deformacji, skłaniając nas do traktowania wszystkiego, co ciemne i mętne w polu widzenia jako niezbywalnego i „normalnego” elementu świata.

Wirus jednocześnie osłabił i wzmocnił naszą odporność na śmierć, wywołując rodzaj szczególnej, obronnej ślepoty, która stała się trwałym zasobem immunologicznej pamięci. Pozwolił nam równocześnie przyjąć do wiadomości, że pandemia spowodowała nieodwracalne społeczne straty, jak i natychmiast nakazał o nich zapomnieć, wymuszając przyjęcie procedury poznawczej normalizacji. Dowody tego zbiorowego przeoczenia wydają się być nieodparte i dotyczą najbardziej elementarnych kwestii. W wyniku epidemii zmarło ponad sto dwadzieścia tysięcy osób, ale śmierć ofiar, najliczniejszych od czasów drugiej wojny światowej, nie doczekała się procesu zbiorowej żałoby, głębszego namysłu ani jakiegokolwiek formy upamiętnienia.

Podobna zmiana reguł percepcyjnych dokonała się w innych sferach życia społecznego, co najlepiej zdaje się opisywać fenomen popularności takich pojęć jak „nowa normalność” i „odporność stadna”. W przypadku pierwszego określenia pandemia faktycznie przyniosła lekcję politycznej brutalności i stała się poligonem administracyjnych metod biopolitycznego zarządzania populacją za pomocą stanu wyjątkowego, pociągając za sobą – w polskim kontekście – tłumienie prawie wszystkich innych protestów politycznych, by później związać się z pozyskaniem społecznej aprobaty wobec przemocy skierowanej przeciwko uchodźcom z białoruskiej granicy. Z kolei potajemne dążenie do osiągnięcia „odporności stadnej” podczas

dwóch ostatnich fal epidemii oznaczało przyjęcie logiki zamierzonej selekcji, celowej rezygnacji z akcji przymusowych szczepień i świadomego poświęcenia życia osób bardziej narażonych na śmierć dla utrzymania zasobów ekonomicznych i poparcia politycznego.

Sygnalizuję wspomniane zjawisko zmiany reguł percepcyjnych z dwóch powodów. Sądzę bowiem, że humanistyka powinna z jednej strony przemyśleć zakres wywołanej przez epidemię zmiany – zwłaszcza w aspekcie procesów społeczno-politycznych, dotyczących stanu wyjątkowego, doświadczenia anomii i alienacji, formowania się populizmów i teorii spiskowych oraz zjawiska pogłębionej „digitalizacji” naszego życia, jak również angażować się coraz bardziej w problematykę środowiskową istotną dla pojawienia się wirusa i kolejnych kryzysów zdrowotnych. Z drugiej strony badania humanistyczne wciąż powinny przypominać o spowodowanych przez pandemię stratach, tak aby uruchomić procesy zbiorowej żałoby i aby jednocześnie powstrzymać mechanizmy nabywania patologicznej autoodporności oraz zatrzymać dynamikę infekowania życia społecznego procedurami ekonomicznej optymalizacji.

W perspektywie takich postulatów uniwersytet winien wytwarzać nie tylko przeciwciała krytycznego namysłu, ale także – przede wszystkim – zajmować się transmisją empatii. Pandemia dowiodła, że nauka może dosłownie uratować świat, będąc „farmakologicznym” narzędziem jego naprawy, co unaocznily sukcesy medycyny i szczepionek; z jeszcze większą siłą uzmysłowiła nam jednak także, że wiedza nie może być wyłącznie instrumentem ekonomicznej wojny, która pustoszy cywilizację. Generowanie mądrości i „humanistycznej” empatii jako środków służących pokonywaniu społecznego dystansu może tym samym stanowić przeciwwagę dla ekonomicznej instrumentalizacji uniwersytetu. Zwłaszcza gdy w zgodzie z logiką farmakonu edukacja uniwersytecka wykorzysta rzekomo alienującą cyfrową infrastrukturę nauczania do wyjścia uniwersytetu poza uniwersytet – w kierunku cyfrowej akademii rozumianej jako wspólnota miłośników, a dominujący w dydaktyce model heurezy uzupełni o angażujący słuchaczy komponent badań współtwórczych. W dużej mierze bowiem raportowana przez wielu prowadzących utrata sprawczości przez studentów i ich pasywność podczas nauczania zdalnego wynikała z zastosowania tradycyjnego sposobu nauczania opartego na jednostronnie zaaranżowanym dialogu, gdy tymczasem przeniesienie punktu ciężkości na problemowe i zespołowe metody pracy czyniło słuchacza – co prawda nie zawsze – sprawcą, podmiotem i współtwórcą wiedzy. Pod tym względem, jak sądzę, pandemia pozytywnie przededefiniowała nasze uniwersyteckie sposoby pracy i wyposażyła nas w narzędzia pozwalające rozwijać bardziej współtwórcze formy akademickiego nauczania i współistnienia. Być może zresztą ostateczną lekcją wyniesioną z pandemii okazała się świadomość, że aby w jakiejś mierze wyleczyć się z epidemii, musimy umieć sobie wyobrazić alternatywny model świata, w większej części oparty na życzliwości, budowaniu więzi i współpracy, niż uzależniony od konkurencji i rywalizacji.

BARTOSZ DĄBROWSKI – adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej UG

Artur Nowaczewski

Nie mam prawie żadnych wspomnień z okresu między marcem 2020 a czerwcem 2021, a raczej wyparłem te wspomnienia – bo to setki godzin, kiedy nasze mieszkanie stało się miejscem pracy. Żona prowadziła zajęcia w jednym pokoju, ja drugim; czasem się zastanawiałem, czy głosy nie nakładają się na siebie i modliłem się, żeby nie wysiadło przeciążone łącze. „Nie słysząc pana, coś przerywa” – alarmowali studenci. Pytania odbijające się od milczenia Teamsa, zanim ktoś zdecydował się wypowiedzieć, zdawały się spadać na dno przepaści, z której od czasu do czasu wydobywał się głos, że tam są ludzie, że świat jeszcze istnieje. Gdy liczba uczestników przekraczała 20 osób, było naprawdę trudno, bo roztopienie się w sieciowej anonimowości często zwyciężało nad chęcią bycia zauważonym. Oczywiście zdarzały się zajęcia inne, z żywą dyskusją; grupy, na które się czekało, bo widać było, że w tych ćwiczeniach wszyscy chcieli uczestniczyć, choćby online. Nie apelowałem o włączanie kamerek, bo nie wierzyłem w przepustowość Internetu, ale tym grupom, które same z siebie wchodziły „na wizję”, byłem wdzięczny za namiastkę materialnej obecności.

Półtora roku z perspektywy wykładowcy to jednak epizod. Z perspektywy studentów to połowa studiów licencjackich i trzy czwarte studiów magisterskich. Półtora roku wyrwane z życia młodego humanisty, dla którego studia są okresem szybkiego kształtowania się, formowania intelektualnego zaplecza na całe życie, to czas skradziony, który nie da się odrobić. Można szacować tylko procent „ubytków”, które dotknęły pokolenie pandemicznych roczników – ale nie dają się one zmierzyć. To niepowetowane szkody.

Podejrzewam, że całkiem spora część urodzonej po roku 2000 generacji podłączonych non stop do sieci użytkowników mediów społecznościowych, nie zdaje sobie nawet sprawy ze skali strat, które ponieśli w trakcie lat pandemii. Sam łowiłem uchem w kolejce czy drodze na uniwersytet westchnienia osób, które wołały studiować online. Zapewne nie odczuwają różnicy, że „uczęszczać na zajęcia” to nie to samo co być tylko „użytkownikiem” uniwersytetu. Taki użytkownik całą sferę nauki ogranicza jedynie do wygody interfejsu i możliwości połączenia się z Internetem. Z zaangażowaniem bywa już różnie. W jednym okienku ma otwarte zajęcia, w drugim pisze z koleżanką, w trzecim ogląda memy. Nagminne stało się zjawisko martwych dusz, niby obecnych, a w rzeczywistości wędrujących po sieciowych lub innych, niezidentyfikowanych światach. Zatem temu, kto podchodził do zajęć poważnie, było trudniej, temu zaś, kto pozorował studiowanie, łatwiej. Znaczna część sympatyków zajęć online zaliczała się, jak można przypuszczać, do tej drugiej grupy.

Słowo „grupa” – powinno być kluczem we wszelkich dywagacjach na temat studiowania. Bo równie ważne jak relacja student-wykładowca, są kontakty między studentami, ich wzajemny wpływ na siebie. Bez nich nie byłoby możliwe trwanie kół naukowych, których spójność zależy od charyzmy, aktywności tworzących je osób, nie byłoby przestrzeni dla własnych artystycznych ambicji – czy to w studenckich teatrach, czy w tworzeniu i prezentowaniu własnych utworów literackich. Internet pozostaje platformą, ale nie zastępuje żywego kontaktu, najwięcej energii zwrotnej otrzymuje się na żywo. Także z tego powodu, że w zapełnianej treściami różnej jakości sieci, przeczytać (zwłaszcza dłuższe kawałki prozy) zdolni są nieliczni, najczęściej i tak znani z „realu” koleżanki i koledy, znajomi.

Z pandemią umarli na wiele miesięcy akademicy, studenci z daleka pozostali w swoich domach rodzinnych. Pierwszy krok w dorosłość ważny zwłaszcza dla ludzi z małych miejscowości, mogących poznać nowe środowiska, nabrać doświadczenia w większym mieście, kompetencji, z którymi mogliby próbować sił na rynku pracy w aglomeracjach, czy wrócić z nimi na prowincję, został dla nich opóźniony o prawie dwa lata. To właśnie oni zwykle przeżywają

w trakcie studiów najbardziej intensywny rozwój, bo otrzymują dostęp do możliwości, których brak w miejscu urodzenia. Ci, którzy największe nadzieje wiązali z wyjazdem na studia, byli najbardziej zawiedzeni.

Wydaje się, że każdy „użytkownik” zajęć online jest taki sam, ma równe szanse, a to przecież nieprawda. Trzeba mieć na starcie odpowiedni laptop, smartfon czy tablet, trzeba mieć pomieszczenie do spokojnej nauki, po którym nie snują się postronne osoby, nie szczekają psy, nie biega młodsze rodzeństwo. I to wszystko, żeby tylko w spokoju posłuchać wykładu, nie mówiąc już o własnym aktywnym uczestnictwie w zajęciach.

Oczywiście byli też tacy studenci, dla których studiowanie było dodatkiem do pracy, a nie na odwrót, dla których łączenie zajęć online z obowiązkami zawodowymi było łatwiejsze niż studiowanie dzienne w starym trybie. W miesiącach gdy zamrożony został handel i życie towarzyskie w mieście, zmalały jednak szanse dla młodych – podejmujących prace w gastronomii, usługach, zarabiających na swoje kształcenie. Osoby znajdujące się u progu samodzielności z szybko zmieniającymi się cenami najmu zmagają się do dziś. Wyczerpywanie się rodzinnych zasobów finansowych, inflacja i wojna w Ukrainie przedłużają pandemiczne bóle. Na te trudne warunki nałożyły się niejednokrotnie rodzinne tragedie - przedwczesne zgony rodziców i krewnych - co odsetki obciążeń na przyszłość.

Po stronie pozytywów pozostaje niewiele – opanowanie przez kadrę nowych narzędzi, które można uzupełniająco wykorzystywać w pracy ze studentami, organizacji konferencji naukowych, zwiększenie zasobów internetowych bibliotek i to chyba tyle...

Historię tych lat spiszą jednak ci, którzy mieli pecha studiować, kończyć studia, bronić dyplomy w latach 2020-21. Jak będą oceniali ten etap swojego życia, jak zweryfikuje go rynek pracy, co pozostawią te lata po sobie, dopiero zobaczymy...

ARTUR NOWACZEWSKI – adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej na UG

Monika Szuba

Moje kolokwium habilitacyjne szczęśliwie obyło się pod koniec drugiego roku pandemii, gdy byliśmy już przyzwyczajeni do spotkań online, a nawet pogodzeni z tym, że spotkania twarzą-w-twarz zastąpiły te ekran-w-ekran. Gdy ruch ograniczony został do przestrzeni domu, dotkliwie czuło się znieruchomienie ciała. Spotkania wirtualne stanowiły próbę kontynuowania dawnych rytuałów. Czytało się trudno, jeszcze trudniej pisało, ale nadal, może nawet bardziej niż dawniej, chciało się słuchać o literaturze. Potrzeba działania wspólnotowego przynajmniej częściowo uwalniała od stagnacji i letargu. Kontakty digitalne z ludźmi dzielącymi nasze pasje literackie stwarzały namiastkę zbiorowości i dawały poczucie przynależności. Podczas miesięcy pandemicznych wygłosiłam referaty w „Edynburgu”, „Glasgow”, „Luksemburgu” i „Lyonie” (choć ciałem byłam wówczas w Edynburgu), uczestniczyłam w seminariach w „Wiedniu”, „Londynie”, „Monachium”, „Durham” i jeszcze kilku nie-miejscach (tutaj w odmiennym znaczeniu niż to, które proponuje Marc Augé) o wydrążonych desygnatach oraz wielu innych „spotkaniach” w bliżej nieokreślonej lokalizacji, czyli „w sieci”. Dwuwymiarowość kontaktów uniemożliwiała prawdziwe doświadczenie wspólnoty. Zaprzyjaźniona badaczka z Francji, dzieląc poczucie odrealnienia i odcieleśnienia, napisała: „See you IRL”, do zobaczenia „in real life”, w prawdziwym życiu. Doświadczenie zapośredniczone, zdomino-

wane przez systemy człowiek-maszyna powodowało paradoksalne wrażenie bliskości i dystansu. Pewna forma intymności, wynikająca z tego, że wszyscy byliśmy w swoich domach, łączyła się z poczuciem oddalenia, bo przecież - tak naprawdę - nie spotykaliśmy się wcale. Zacierały się granice pomiędzy przestrzenią publiczną a sferą prywatną, gdy wszystkie te seminaria – także kolokwium habilitacyjne – odbywały się nie w murach instytucji, lecz we własnym pokoju. Tamtego dnia nawet chyba nie dziwiło nas, że mówiliśmy o autentycznej obecności, o ucieleśnionym doświadczaniu świata, o jego namacalności. W tle milczący świadek: kot wyciągnięty na fotelu, niezainteresowany ludzkimi sprawami.

MONIKA SZUBA – adiunktka w Zakładzie Badań nad Literaturą Anglojęzyczną UG